Rok VIII. Lwów, Niedziela dnia 10. Kwietnia 1881 r. **Tom XII.**



Nr. 15.

PRENUMERATA we LWOWIE
Tydzień . . . . . kwartalnie 2 zł.
— z dodatkiem powieściowym „ 2 „ 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
Tydzień . . . . . kwartalnie 2 zł. 50 ct.
— z dodatkiem powieściowym „ 3 zł.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
plac Halicki L. 14.
Godziny redakcyjne od 9—11 rano.

PRENUMERATA w W. Ks. POZNAŃSKIEM
Tydzień . . . . . . kwartalnie 6. m.
— z dodatkiem powieściowym . „ 7. „
PRENUMERATA we FRANCJI, ANGLJI, AMERYCE i t. d.
Tydzień . . . . . . kwartalnie 7 frank.
— z dodatkiem powieściowym „ 8 „

NIEWOLA TATARSKA

urywki z kroniki szlacheckiej Aleksego Zdanoborskiego

zebrał

HENRYK SIENKIEWICZ.

(Ciąg dalszy.)

IV.

...Nadeszła wiosna i znowu cieplejsze słońce oświeciło nędzę moją. Tak zaś już do niej przywykłem, żem prawie zapomniał, iż są szczęśliwi ludzie na świecie. Bociany, pliszki, jaskółki i skowronki leciały stadami ku północy, a jam im mówił: »Ptaszyny marne! ach! mówcie Rzeczypospolitej i wszelkim stanom, żem jako szlachcic patrjota wytrwał, i choć tak mocno do ziemi przybity, choć tak nogami pogan zdeptany, przed Panem moim tylko płaczę, a dla nieprzyjaciół dumne oblicze chowam i ducha w ucisku nie dałem.« Koniec mej nędzy był jeszcze daleki, ale wiosna owa zmiany i wróżby nowe przyniosła i dziwnych zapowiedzi była pełna. Na niebie nad Krymem zjawiła się rózga gniewu bożego, kometa, i sinem okiem mrugając, trzęsła ogonem na stracenie Krymowi i pogaństwu. Przerażeni Tatarowie z gwarem, brząkaniem i krzykiem po nocach chodząc, chmury strzał zapalonych z łuków ku niebu ciskali, aby zestraszyć onego ptaka złej wróżby. Księża im post ogłosili, czarnoksiężnicy przepowiadali plagi. Strach padł na serca ludzkie i nie był strach daremny, bo wieści doszły, że nad Palus Maeotis wybuchła zaraza. Wyprawy miały iść tej wiosny do Rzeczypospolitej dwoma szlakami i nie poszły. Ludzie kupami w dzień na ulicy stojąc, rozmawiać głośno nie śmieli, a jedno oczy ku wschodowi zwracali, zkąd miał »czarny dziw,« jako go zwali, nadlecieć. Coraz to nowe wieści krążyły między ludem, aż wreszcie gruchnęło po Kizlich, iż mór już się w stolicy chanowej pokazał. Sam chan ze stolicy uciekł. Jedni mówili, że się w góry, które są na południu, z żonami swemi schroni, inni, że do Kizlich, gdzie wiatry morskie czyszczą powietrze, przyjedzie. . . . .

. . . . . Przybył tedy Chan za poradą wróżbitów do Kizlich, pędząc przed sobą trzody okrutne, aby miał co jeść z dworem swoim. Praefectus Sukyman ze czcią go wielką podejmował, a ludzie na twarzy przed nim padali, bo go niewolnicy owi prawie za Boga i powinowatego ciałom niebieskim mają. Ordy nie wiele było przy nim, jedno dwór i tysiąc baskaków i nieco hodżów i agów w żółtych tołubach, bo obawiano się aby w wielkiem nagromadzeniu ludzi łatwiej nie okazała się zaraza. Wędrowała ona po Krymie, głównie w tej części, którą Jenikalską zowią. Tam rzuciwszy się na jakowe miejsce, wzięła pogłówne, a inne ałusy minęła całkiem, gdzie zaś przeszła, tam nawet ptastwo padało. Ale do Kizlich o dwa dni drogi najbliżej przyszła. Dziękował tedy Bogu Chan za ocalenie i szczodrze wróżbitów obdarzył, a wielu też niewolnikom wolność darował. Ale właśnie, gdy inni fructa łaski jego zbierali, na mnie przyszła ostatnia próba. . . . .

Pewnego razu przejeżdżając podle barłogu, na którym leżałem, bardzo blizko przyjechał, a spojrzawszy na mnie, pytał Sukymana, coby to był za człowiek tak nędzny. Ten, co odrzekł, nie wiem, widziałem jedno, że długo ze sobą rozmawiali i widać Sukyman na niewdzięczność i zatwardziałość moją się skarzył, gdyż w końcu rzekł głośno: »spróbuj go panie!« Czem zaciekawiony Chan, sam ku mnie koniem ruszył. Wnet dwa czaukczy leżeli przed nim, krzycząc: »na twarz psie niewierny!« alem tego nie uczynił, choć mnie długiemi trzcinami po głowie bić poczęli. Więc on władca zbliżywszy się pytał: »Czemu przedemną na twarz upaść nie chcesz?« Odpowiedziałem mu: »Panie, jeśli szlachcicowi przed własnym królem tego czynić się nie godzi, jakże chcesz, abym przed obcym i poganinem to czynił.« Tu Chan, odwróciwszy odemnie twarz, rzekł: »Roztropnie mówiłeś Sukymanie.« A potem do mnie: »Gdybym ci wybór dał, albo cześć mi oddać i na twarz upaść przedemną, za co wolnością byłbyś obdarzony, albo śmiercią okrutną umrzeć — cobyś wybrał?« Na to odrzekłem, »że niewolnikowi wybierać nie przystoi, niechże więc uczyni ze mną co zechce, niech jednak baczy, że każden najpodlejszego stanu człowiek, może śmierć okrutną zadać, ale majestat monarszy w woli Boga swoje inicium mając, wtedy Stwórcy najpodobniejszym się staje i najlepiej swą potęgę oznajmia, gdy nie śmierć, ale życie dawa.« On zastanowiwszy się nad mojemi słowy, tak potem mówił: »Jeśli niewolnikiem będąc, nie chcesz mi czci oddać, ani mię słuchać, tedy przeciw Bogu postępujesz, który niewolnikom posłuszeństwo przykazał.« Odrzekłem: »Ciało moje jest tylko w niewoli.« Co słysząc Tatarowie aż pobledli, ale on był cierpliwy, gdyż nie próżno nazywano go Roztropnym. Namyśliwszy się tedy odjechał, ale odjeżdżając powiedział agom i czaukczom swoim: »Gdy w niewolę niewiernych popadniecie, temu człowiekowi bądźcie podobni.« Więc potem miałem spokój przez dwa dni i jeść mi przynosili. Inni zaś przychodzili nawet do mnie mówiąc: »Pan nasz cię nie zapomni; ale, gdy do łaski cię wyniesie, nie zapo-

minaj o nas.« Tak niewolnictwo upodliło serca tych ludzi, że w przewidywaniu zmiany fortuny mojej, jeszcze mnie na barłogu leżącego już sobie kaptowali. Ja zaś cieszyłem się w duszy, bom myślał, iż może wolność, a z nią i szczęście moje odzyszczę. Po dwóch dniach Chan przejeżdżając, znowu ku mnie konia zwrócił: »Rozważałem — rzecze — słowa, któreś rzekł, w mądrości mojej, i na wargach mej sprawiedliwości je położyłem. Znalazłeś za twoje męztwo łaskę u mnie; mów tedy, czegobyś pragnął, abym dla cię uczynił? »Odpowiedziałem, że w wolnym zrodzonemu stanie, wolność najmilszymby mi była fruktem łaski jego. On spytał: »A gdy ci jej odmówię?« — Tedy daj śmierć! odrzekłem. On znowu się zastanowił, ile że chciał, żeby wszyscy podziwiali i sławili mądrość jego, iż nic bez namysłu nie przedsiębierze. A przez ten czas serce biło we mnie jakoby młotem. Namyśliwszy się, mówił: »Giaurze! nie naciągaj łuku zbyt mocno, aby zaś nie pękł i ręki ci nie zranił; przeto ci powiem ostatnie słowa: żółty tołub ci dam, do dworu cię mego wezmę, dostatkami nagrodzę i koniuszym moim uczynię, odmiany wiary nie wymagając, byleś rzekł, iż z dobrej woli służyć mi będziesz.« Wtedy zadrgało mi serce zrazu radością wielką, ale wnet pomyślałem, że to pokusy są może szatańskie, a potem jeszcze: co rzeknę ojcom moim, gdy mnie spytają: czem byłeś na świecie? Żali rzeknę onym rycerzom w boju poległym: koniuszym byłem z dobrej woli tatarskim. I okrutny strach mnie zdjął przed tem ojców pytaniem, większy niżeli przed męką i śmiercią; wyciągnąwszy tedy do Chana ręce wołałem: »Panie woli ty mojej nie żądaj, bo wola z duszy wychodzi, dusza zaś nietylko wiary jest pamiętna, lecz i stanu, w którym na świat przyszła, a stan ów od ojców wziąwszy, muszę im go odnieść nieskalanym.« »Niewolniku, złamałeś łuk« — rzekł Chan, i już widziałem, że godzina nadeszła, bo gniew począł występować na jego oblicze, ale się opamiętał i takiemi do Sukymana ozwał się słowy: »Mądry Sukymanie! Zaprawdę w łasce zadaleko z tym psem zaszedłem, a teraz ci przykazuję, byś go złamał koniecznie; ale nim życie mu weźmiesz, do tego męką go doprowadź, by nawet u twoich nóg w pokorze się czołgał.« Wtem odjechał, a mnie zaraz z rozkazu Sukymana, kałmukowie porwawszy, przywiązali do pala. Co było ludu i niewolników, wszystko się zbiegło, aby patrzeć, jakie mi męki będą zadawane. Ja zaś duszę ku Bogu ze wszystkich sił wytężywszy, o to najwięcej go błagałem, by mi sił dodał i upodlić się nie pozwolił. I wraz poczułem, że modlitwa została wysłuchana, bo duch mocny na mnie wionął. I pomyślałem, żem ja tu żołnierz na ordynansie Chrystusowy moriturus i powołany, abym fundamentem życia mego świadczył o duchu, który jako ogień niebieski nie gaśnie. A pomyślawszy tak, choć nędzny, prochem pokryty, głodem wychudły, bezsilny, taki niezmierny w sobie poczułem majestat, jakobym z wyniesienia na świat poglądał. Kałmukowie zaś siec mnie surowcem poczęli i wkrótce krwią spłynąłem. Pytali mnie tedy: »padniesz twarzą?« Odpowiadałem: »szlachcicem polskim jestem.« Wtedy ci siekli mnie na nowo, inni zaś ognia wolnego pod nogami memi napalili, abym się piekąc, prędzej o litość zawołał. Jakoż począłem ustępować, ale nie duszą, jedno ciałem, bo omdlałość wielka rozeszła się po kościach moich i światłość dzienna bladła w oczach. Dopiero widząc, że już śmierć nadchodzi, resztą sił podniosłem głowę do góry i zawołałem w stronę Rzeczypospolitej: »widzisz że ty mnie i słyszysz?« Aż tu nagle, jakoby przez całe stepy i Perekop, doszedł mnie głos: »widzę!« — w dalekościach coś się ćmić poczęło, niebo i powietrze zbiegało się do kupy, z czego niewiasta ze słodkiem obliczem wypłynęła i stanęła koło mnie. Ogień przestał mnie parzyć, surowiec nie świstał już nademną i poczułem, że lecę na ręku onej niewiasty niesiony. Ona zaś ku niebu leci, a z nią roje aniołków śpiewających: »nie w kontuszu, nie przy karabeli, ale w ranach Rycerzu, rycerzu w boju mężny, w męce cierpliwy, Chrystusów Palladzie cichy, krwawej ziemice synu wierny, witaj w spokoju, witaj w szczęściu — w weselu, w weselu!«... I tak lecieliśmy ku niebiosom, a com tam ujrzał, tego już grzeszne usta moje ziemskim uszom opowiedzieć nie mogą. . . . .

. . . .

. . . .

(Dokończenie nastąpi).

SZEKSPIROWSKA HISTORJA TRAGICZNA

O KSIĘCIU DUŃSKIM HAMLECIE

napisał

Włodzimierz Spasowicz.

(Dokończenie)

Ostatecznie scenicznem jest w dramacie wszystko, co maluje dosadnemi rysami charakter osoby, czy to w jej przygotowaniach do działania, czy to w samem działaniu i starciach się tej osoby z innemi. Z tego punktu widzenia scenicznym jest monolog *to be or not to be*, ale równie scenicznym i drugi monolog w akcie IV, zkąd braliśmy już przytoczenia, monolog, bez którego charakterystyka Hamleta pozostaje połowiczną tylko i niepełna. Przeciągają wojska norwegskie, idące ku Polsce pod dowództwem młodego Fortynbrasa, dwadzieścia tysięcy żołnierzy, a wszyscy tędzy, co się nazywa chłop w chłopa; a wszyscy weseli, jakby szli na gody, *Pewno na podbój całej Polski*—zagaduje ich Hamlet — *Gdzie tam*, odpowiada rotmistrz, *marny to kęs ziemi, z którego krom sławy, żaden nam nie przyjdzie pożytek, jabym go nie wziął w dzierżawę za pięć dukatów — W takim razie Polacy bronić go nie będą—Owszem okopali się. Wartoż tracić parę tysięcy dusz i dziesięć razy tyle dukatów, Za takie źdźbło, za taką łupinę orzecha. Prawdziwie wielkim być, nie jest to działać Tam, gdzie do tego wielki powód skłania, Lecz wielkomyślnie o źdźbło nawet walczyć Gdzie honor każe... I cóż ja wart jestem, gdy oto ze wstydem Widzę przed sobą marną śmierć dwudziestu tysięcy ludzi, którzy dla chimery, Dla widma sławy w grób idą jak w łóżko, Aby wywalczyć nikczemną piędź ziemi, Niedostateczną nawet do pokrycia Tych co polegną.* Nic głębszego i mędrszego nad te słowa nie znaleść w całym Hamlecie, obok Szekspira - psychologa staje przed nami Szekspir - socyolog. Wielkość zbiorowego człowieka, narodu, a zatem i społeczna zasługa jednostki nie na czem innem polega, tylko na obowiązku i karności, na duchu poświęcenia się, ważącym zdrowie, mienie i życie prawie za jedno nic, za łupinę orzecha, nie wahając się i nie rozumując, czy to wskutek ślepego posłuszeństwa, właściwego pokonywającej spróchniałe cywilizacye barbaryi, wskutek przymiotu, któren Słowacki w Lilli Wenedzie nazwał owczarstwem, czy też wskutek wiary w płonące na kształt pochodni ideały: kraj, ojczyznę, wiarę, czy też jakkolwiek nazwiemy te w oczach sceptyka widma czy chimery. *Te ideały migają przed oczyma duszy Hamleta, lecz żaden z nich w tę duszę nie wstąpi, nie rozogni jej, nie napełni, nie przerobi go na bohatera*; więc pod pewnym względem królewicz taki czuły i taki genialny, jest niższym i pośledniejszym od ostatniego z szeregowców, którzy ochoczo ciągną pod chorągwiami Fortynbrasa. Każden z nich powiedział: powinienem to uczynić i czyni, chociażby przyszło zginąć, podczas gdy na królewicza duńskiego proste ale magiczne słowo: *powinienem*, nie wywiera żadnego skutku.

Lecz Hamlet jest poetą, i czego nie wymoże na nim poczucie obowiązku, tego często dokaże po prostu artyzm, miłość dla sztuki, upodobanie nie treści i celu, ale samego procesu działania. W tem umiłowaniu sztuki dla sztuki poświęca się jej wszystko, tratują się serca, ranią się dusze, w ślad za artystycznemi fantazyami idą śmierć i zagłada. Chociaż nie jestem prędki i drażliwy, powiada Hamlet (V 1), ale mam w sobie coś niebezpiecznego. Czego radzę strzedz się... to coś niby maluczka odrobina uczucia, które posiadał potwór Nero gdy wołał: *qualis artifex pereo!* Konieczność zamaskowania stanu duszy zanim się zemści, zmusiła go udawać obłąkanie, lecz wkrótce tak zasmakował w tej roli, że już ta rola odciąga go od działania, bo mu daje możność rozwijania przez wprawę złośliwej ironii, werwy satyrycznej.

Pierwszą ofiarą tej bezlitośnej werwy staje się Ofelia. Hamlet właściwie nigdy i co się nazywa kochać nie kochał, bawił się tylko jako artysta tym ładnym kwiatkiem. Po scenie z duchem już mu nie w głowie żadna kochanka, ale nadaje się paradny koncept: udać, że oszalał z miłości. Koncept ten tak pięknie odegrany, że na tę plewę łapie się nawet taki stary wróbel jak Poloniusz. Postępowanie Hamleta względem Ofelii jest po prostu okrutne, słodziuchne madrygały, które on do niej pisze i cyniczne żarty, któremi ją raczy, tak są cyniczne, że ich nawet nie powtórzył polski przekład Hamleta, to rozdurzają, to ranią biedne kochliwe i rozkochane serce. Jest na podorędziu pretekst, tłómaczący okrutne postępowanie: zmawiała się na wybadanie mnie z nieprzyjaciołmi memi. Nagła śmierć ojca z ręki kochanka, zadaje cios stanowczy Ofelii — wpadła w obłąkanie wszczepione jej przez samegoż Hamleta, któren na jej grobie prawie jego własnemi rękami wykopanym, jedynie prze z sam artyzm, po prostu by przesadzić Laertesa

w jego żalu, tuza się z tym ostatnim w najmniej dostojny sposób w samym dole grobowym i wygłasza kłamliwe słowa, które wnet prostuje drwiąc z nich: *kochałem Ofelię — czterdzieści tysięcy braci z całą swą miłością nie mogłoby memu wyrównać uczuciu! — A co? jeżeli umiesz szermować gębą, to i ja to potrafię* (V, I).

Drugą ofiarą fatalności przywiązanej nie bez przyczyny do postaci Hamleta, staje się minister, wielki ochmistrz dworu, Poloniusz. Po zgładzeniu człowieka nawet przypadkowem, nawet przez pomyłkę, chociażby zgładzony był *»kapitalne cielę«*, coś więcej mu się należy nad to znęcanie się nad *»bryłą mięsa«, niż to sprzątanie trupa pod schody, gdzie się ma zebrać kongres robaków politycznych na smaczną kolacyą.* Gorzka ironia wszystko wyżarła w sercu i zajęła miejsce innych bardziej ludzkich uczuć. Fraszka świat, fraszka ludzie, fraszka ich szczęście i życie, wartoż dbać o tak marne i liche istoty. W arystokratycznem podniesieniu swojej osobistości, swojego ja, ponad gawiedź i tłuszczę, zaczyna górować egoizm wyuzdany i bezbrzeżny, podścielający świat cały pod nogi swoim coraz to dzikszym fantazyom.

Ten egoizm i to okrucieństwo naiwne dosięgają szczytu w czynie w całem znaczeniu wyrazu zbrodniczym, w katastrofie z Rosenkrancem i Gildensternem, uknutej przez Hamleta, jak się wyraża Stopfer (Shakspeare et l'Antiquité 1880 cz. 2. str. 303) *z dyabelską złośliwością i uciechą.* Ci dwaj przystawieni do Hamleta wierni sludzy królewscy, są prostymi wykonawcami danych im rozkazów. Kazano im po śmierci Poloniusza odwieść Hamleta do Anglji, dano im list, którego treści nie znają, a w którym Klaudyusz swego lennika króla Anglii zobowiązuje, aby wnet po wylądowaniu ścięto Hamleta. Domyślnie przewidziawszy zdradę, Hamlet dobrał się na okręcie do manatków swoich towarzyszy, dostał list królewski i nietylko go schował, ale sfałszował inny z podrobionym podpisem Klaudyusza i królewską pieczęcią, odciśniętą sygnetem odziedziczonym przez Hamleta po ojcu, a w tym sfałszowanym liście była prośba do króla angielskiego, aby stracić rozkazał obu jego oddawców. W ciągu podróży, korzystając z napadu korsarzy na okręt, Hamlet wskoczył na okręt korsarski i został jeńcem korsarzy a Gildenstern i Rozenkranc powieźli do Anglii, nie domyślając się, swój własny wyrok śmierci i zostali straceni. Byli tu ludzie bardzo pospolici, po swojemu uczciwi, zgoła nic nie winni, śmierć ich nie była potrzebną, bo Hamlet mógł poprzestać na zniszczeniu listu królewskiego; padli ofiarą tylko wskutek tego, że Hamlet przyjął walkę z królem jako pojedynek na śmierć, że pojął ją jako grę o lepsze, i że zasmakował w tej grze przez artyzm. Jeszcze przed podróżą w sypialni królowej (koniec a. III) Hamlet woła: *o, jakże przyjemnie, gdy na jednej linii zetrą się dwie przeciwne siły; idzie tu o to aby inżyniera własną jego petardą wysadzić w powietrze, ale sęk w tem będzie właśnie, że ja głębiej o parę sążni podkopię ich minę i poszlę ich pod księżyc.* Udała mu się sztuka; opisuje ją z całą rozkoszą sztukmistrza, któren dopiął celu; Horacy czuje jak po nim przeszło mrowie, ale sumienie księcia zostaje czyste i spokojne, bo straceni byli tylko lichemi pospolitemi robakami; bo *Biada podrzędnym istotom, gdy wchodzą Pomiędzy ostrza potężnych szermierzy.* Zepsucie moralne posunęło się już bardzo daleko i synowiec początkowo taki dobry i szlachetny, staje się niewiele lepszym od stryjaszka.

Niedawno Renan w dwu dramatach *Caliban i Eau de Jouvence* starał się dotoczyć koniec do Burzy Szekspira i przedstawić koleje życia mędrca Prospera po powrocie z odludnej wyspy do Medyolanu. Ciekawą byłoby rzeczą, gdyby kto zmienił koniec Hamleta i dawszy mu wstąpić na tron po uprzątnięciu ukaranego stryja, podał nam w poetycznym obrazie panowanie Hamleta, z jego zwątpieniem, z jego ściganiem mar wyobraźni, z jego wrodzonym artyzmem i nabytą zupełną ku ludziom pogardą i lekceważeniem. Byłoby to ciekawe panowanie króla poety, które możeby ludziom kazało pożałować czasów króla Klaudyusza, i w końcu którego chóry głosów spiewałyby — jak w scenie wizyi Orcia w Nieboskiej Komedyi: o pokrewnym Hamletowi z ducha hrabi Henryku: — *za to, żeś nic nie kochał, nic nie czcił prócz siebie i myśli swoich, potępion jesteś, potępion na wieki.* Tragiczna katastrofa, przecinająca nić życia królewicza w zdradzieckim ze strony króla pojedynku jego z Laertesem, wyświadcza mu prawdziwe dobrodziejstwo i ratuje go od jeszcze smutniejszego końca, gdyby stryja przeżył. Nie godzimy się ze słowami Fortymbrasa: *Byłby się wzorem królów okazał, Dożywszy berła.* Sądzimy, że przy swojej umysłowej organizacyi, już wyrobionej w chwili pierwszego ukazania się na scenie, Hamlet nie sprostałby żadnemu większemu zadaniu praktycznemu, ale możemy zapominając skazy i pomnąc na grunt duszy szlachetny, na jej wielkie przymioty pierwiastkowe powtórzyć, rozstając się z Hamletem, słowa Horacego: *Pękło ene serce, dobranoc mój książę — Niechaj ci do snu nucą chóry niebian!*

Rozstajemy się z Hamletem; rozstajemy się z Szekspirem. Nie objął Szekspir wszystkich rodzajów poezyi, nie wyczerpał wszystkich jej źródeł. Jest poezya szczególniejszego rodzaju — poezya wiary, religijna, metafizyczna albo mistyczna, poezya Biblii i Koranu, psalmów i ksiąg proroków, Danta i niektórych naszych wieszczów — szczególniej Krasińskiego. Kto tego rodzaju poezyę przed innemi ukochał, dlatego spostrzegawczość i ironia Szekspira, mimo przyznaną wielkość utworów, będą zawsze czemś odpychającem, Szekspir pozostanie zawsze mistrzem na dyssonanse i anatomem. Jest jeszcze poezya innego pochodzenia, nie sięgająca poza świat poprzestająca na skromniejszem zadaniu, idealizująca świat jak on jest, z jego niedoskonałościami i cierniami — nie więcej, zazierająca w duszę, aż do najgłębszych jej tajników, badająca żywot ludzki w najrozmaitszych jego kolejach, spragniona prawdy i dochodząca jej nietylko w ponętnem, ale i w okropnem, nie tendencyjna, ale wdrażająca człowieka do tej myśli, że jest on istotą w najwyższym stopniu kruchą, ale i odpowiedzialną. Kto stanął u tego drugiego bieguna poezyi, kto sztukę pojmuje jako najpiękniejszy z żywota tego kwiatów, dla tego Szekspir będzie najlepszym mistrzem i niewyczerpanem źródłem nauki, pociechy i wiedzy. W 4. pieśni I. trylogii Dantejskiej, duchy dobre chociaż nie ochrzczone, wyśpiewują cześć Homera: *mistrza najszczytniejszych pieśni Co jako, orzeł nad innych wylata: Onorate l'altissimo poeta!* Zmieniając przedmiot czci i stosując do Szekspira to, co Dante powiedział o Homerze, wyrzeczemy:

Cześć olbrzymiemu poecie oddajcie!

KONIEC.

OPINJA CHIŃCZYKA O ANGLJI.

Wrażenia posła Liu-Ta-Jen.

Przegląd angielski, „Wiek XIX," drukował niedawno wyjątki z dziennika Jego Ekscelencji Liu-Ta-Jen, członka poselstwa chińskiego, przybyłego do Angiji w ostatnich miesiącach 1876 roku. Rząd Niebieskiego cesarstwa, żądny wiadomości o Europie, polecił swoim przedstawicielom przysyłać sobie wierne sprawozdania o wszystkiem co zobaczą i usłyszą. Tak czyniła niegdyś Rzeczpospolita Wenecka, a listy ambasadorów weneckich, ludzi przenikliwych i dobrze powiadamianych, należą do najcenniejszych dokumentów XVI i XVII wieku. Sprawozdania posłów chińskich zasługują na uwagę z zupełnie odmiennych powodów: nic nie widzieli, nie odkryli nic, czegobyśmy lepiej od nich nie wiedzieli; nie potrzebujemy więc zajmować się tem co zauważyli, lecz tem co myślą; ciekawem jest, co o nas sądzą na drugim krańcu świata.

Liu-Ta-Jen, który zdaje się zresztą posiadać umysł wykształcony, jest Chińczykiem starej daty, głęboko przekonanym o wyższości zwyczajów i pojęć swego kraju i wcale nie usposobiony, ażeby się dać olśnić blaskiem cywilizacji zachodniej. Z pogardliwą litością mówi o słabości Japończyków, którzy się dali nagiąć do naszych pojęć i ma nadzieję, że Chiny niedadzą się tak łatwo uwieść.

„Japończycy, mówi on, zaprowadzili u siebie system rządowy podobny do systemu państw europejskich; przyswoili sobie ubiory, zwyczaje i obyczaje Zachodu. To też Europejczycy pogardzają nimi, bo wyrzekli się wrodzonych sobie upodobań, poświęcili narodowe zwyczaje i zapożyczyli je u rasy obcej. Tsai-Kuo-hsiang, komendant chińskiego wojennego okrętu, mówił mi: „Gdy znajdujemy się na obiedzie razem z Europejczykami, powinniśmy jeść po chińsku; gdy Europejczyk witając się z nami zdejmuje kapelusz, powinniśmy ukłonić się wznosząc obiedwie ręce. Jeżeli porzucimy nasze i przyjmiemy ich zwyczaje, wyśmieją nas z pewnością."

Nie znaczy to, ażeby Liu-Ta-Jen postanowił przyganiać wszystkiemu co się dzieje na Zachodzie. Przeciwnie, jest zawsze gotów oddać nam sprawiedliwość, ile razy na to zasługujemy. Uznaje grzeczność i względy, jakie okazywano poselstwu chińskiemu w Anglji, których, o ile się zdaje, nie spodziewał się bynajmniej.

„Jeden ze służących legacji wyszedł porobić sprawunki i spotkał pijaka, który się rzucił na niego i odebrał mu kapelusz. Pijak został ujęty przez policję i zaprowadzony przed lorda prezydenta, dla osądzenia go. Czynności lorda prezydenta są te same, co wójta po wsiach w Chinach. W Anglji zarząd spraw miejscowych należy zawsze do osób tego rodzaju. Lord prezydent uważał przestępstwo, jakie popełnił ten człowiek niepokojąc członka poselstwa chińskiego, które zaledwie przybiło do brzegów Anglji, za bardzo ważne i skazał go dla przykładu na dwa miesiące więzienia i robót przymusowych. Lud został wezwany przez ogłoszenia w dziennikach do opiekowania się członkami poselstwa (w Anglji, wszelkie zawiadomienia urzędowe załatwiają się za pomocą dzienników). Minister Kuo pisał do lorda Derby wstawiając się o ułaskawienie przestępcy, ale nie otrzymał odpowiedzi.

*

Uważałem zawsze Anglików za naród zamieszkujący małe, nędzne wyspy, oddany swawoli bez granic, i baz najmniejszego wyobrażenia o obyczajności i grzeczności. Dlatego też byłem zdziwiony widząc jaki wszyscy, mali i wielcy, obchodzili się z nami z nadzwyczajną uprzejmością i wypełniali pod tym względem, w całej rozciągłości obowiązki narodowe.“

Zdziwienie, jakie zdradza Liu-Ta-Jen widząc Anglików, spełniających najprostsze przepisy zwykłej grzeczności, przekonywa nas, że spodziewał się wylądować u narodu dzikiego, jeżeli nie u ludożerców.

Co go jednak razi najwięcej, jak zresztą w ogóle wszystkich mieszkańców Wschodu, to sposób postępowania i stroje kobiet. Przyjęcie w pałacu Buckingham wydało ma się szczytem nieprzyzwoitości.

„Kobiety miały szyję i ramiona obnażone i niewydawały się strwożone zetknięciem z mężczyznami. W ręku trzymały kwiaty. Ubrania głowy i suknie były różnokolorowe; spodnice miały z tyłu fałdy i były podobne do gniazda osy (czy to z powodu falban?), kończyły się zaś ogonami od pięciu do sześciu stóp. Znajomi ściskali się za ręce bez różnicy płci.“

Niemniej zgorszonym jest obecnością lekarzy przy kobietach, i ażeby to sobie wytłómaczyć, wynajduje powody dziwaczne, które każą nam domyślać się, że książka o małych Chińczykach nie jest oparta na samej legendzie.

„Przy urodzeniu dziecka są zawsze obecni lekarze. Rząd, życząc sobie ażeby ludność wzrastała, uważa dzieci za rzecz największej wagi dla państwa. Gdy dziecko umiera, robią śledztwo co do przyczyn zejścia, a jeżeli rodzice są winni zostają ukarani.

W Anglji, urzędnicy i lud uważają również liczne potomstwo za ciężar, a mniej liczne za błogosławieństwo: dlatego zarządzają badanie co do przyczyn śmierci. Obecność lekarzy przy narodzinach pochodzi z życzenia rządu zachowania jak największej liczby dzieci przy życiu. Rząd obawia się, ażeby niemowlęta pozostawione bez pomocy lekarskiej, nie były narażone na śmierć przedwczesną, doktor zaś czuwa, ażeby dziecię przychodziło na świat w jak najlepszych warunkach, zawsze w celu powiększenia ludności. Z powodu zajęcia się wyłącznie tą myślą, przedział, jaki powinien istnieć między dwiema płciami, nie wchodzi u Europejczyków w rachubę. W Chinach, nasza święta religja wymagałaby od kobiet, ażeby uczyły się chirurgji, a tym sposobem osiągniętoby naraz dwa cele: zręczność lekarek i zachowanie przyzwoitości.“ Nie spodziewaliśmy się bynajmniej widzieć Chińczyka głoszącego tak stanowczo za uczeniem kobiet medycyny. Jest to zresztą jedyny punkt, na którym Liu-Ta-Jen wyznaje zasady postępowe. Pod każdym innym względem jest konserwatystą skrańcowym. Koleje żelazne zwłaszcza wydają mu się wynalazkiem smutnym, i obawia się, ażeby intrygi Anglików nie zaprowadziły ich w Chinach, ku wielkiej krzywdzie ludności. Do zwalczenia ich wynajduje powody, które różnią się zasadniczo bardzo mało od tych, w imię których w innych krajach wzywają do popierania celów narodowych.

„Gdyby pobudowano drogi żelazne w Chinach, liczne warstwy ludności utrzymujące się z przewożenia osób i towarów, stangreci, przewoźnicy, utraciliby sposób zarobkowania. Rząd nasz od wieków przyjął za zasadę nie przedsiębrać kroków, mogących szkodzić ludowi.

„Zresztą koleje żelazne nie opłaciłyby kosztów. Z powodu wysokich cen transportu, niewielu kupców powierzałoby im swe towary. Dzięki ojcowskiej opiece, jaką rząd lud otacza, każdy żyje u siebie w pokoju i pomyślności, i nikt bez ważnych powodów, nie myśli o opuszczeniu swej wioski. Bogaci jedynie przedsiębiorą niekiedy wycieczki, lecz tylko do niedalekich miejscowości... Gdyby zbudowano w Chinach kolej żelazną, w pierwszych chwilach cisnęłyby się tłumy, olśnione rzeczą tak niezwykłą i genialną, żądne nowych wrażeń. Po sześciu miesiącach, jestem przekonany, że liczba podróżnych byłaby bardzo małą, i przychód pokrywałby zaledwie codzienne wydatki, węgiel, pensje, i t. d., nie mówiąc już o procentach od kapitału. Rząd chiński uważa sobie za obowiązek oszczędzać pieniądze skarbowe i czuwać nad dobrem poddanych, nie zgodzi się więc nigdy na wichrzenie życia ludzi spokojnych i trwonienie swych bogactw w wyłącznym interesie tych, co chcą nagle robić majątki. Jest równem niepodobieństwem zaprowadzenie dróg żelaznych w Chinach, co krzewienie budaizmu w Europie. Jeżeli cudzoziemcy będą nalegać, odpowie się im, że to jest rzecz administracji wewnętrznej, do której nie mają prawa się mięszać, ponieważ Chiny są mocarstwem niepodległem. Tym sposobem, przeciwstawiając im jedną z pierwszych zasad prawa międzynarodowego, zamknie się im usta, i nie będą już mieli nic do zarzucenia.“

Liu-Ta-Jen jest przeciwny kolejom żelaznym nie tyle ze względów ekonomicznych, co z politycznych powodów. Za pierwszym razem, gdy spotkał w Pekinie ambasadora angielskiego, sir Tomasza Wade, ten ostatni mówił mu o konieczności otworzenia w Chinach kopalni żelaza i węgla i zaprowadzenia dróg żelaznych. Później, na statku parowym, którym płynął z Tien-Tsin do Shang-Hai, wszyscy podróżni nalegali na niego w tym samym przedmiocie. Nastawanie to, dało mu do myślenia. Zdawało mu się, że po za troskliwością Anglików o pomyślność Chin, widzi jakąś myśl ukrytą. Zdawało mu się, że odnalazł klucz tajemnicy, gdy zobaczył w instytucie politechnicznym w Shang-Hai plan drogi żelaznej chińsko-indyjskiej; linja projektowana przechodziła przez granicę i przerzynała cesarstwo w całej długości. Zdawało mu się, że domyślił się wtedy, iż cele Anglików nie były czysto handlowe i że niepodległość Chin była zagrożoną. Z przestrachem pomyślał, że kupcy chińscy, a nawet mandaryni z prowincji makrylskich dadzą się nakłonić do działania cudzoziemcom, nie przeniknąwszy ich tajemnych zamiarów. Cóżby się stało, gdyby rząd ustąpił naleganiom interesowanych w tem kupców? Ażeby się uspokoić, Liu-Ta-Jen musiał sobie przypomnieć to stare prawidło polityki chińskiej: „Rząd cesarstwa nie mierzy łokciem kupca; ci którzy celują jedynie w pracy rąk, nie mogą się wznieść do najgłówniejszych zasad moralno-państwowych.“

Zresztą sądzi, że projektowana droga żelazna byłaby niemniej niebezpieczną dla Anglji jak dla Chin.

„W rzeczywistości, mówi, uczucia nieprzyjazne cudzoziemcom są jeszcze zakorzenione wśród ludności. Jeżeli dla zbudowania drogi żelaznej porozwalają groby, domy i zagrody, nieprzyjaźń ożywi się na nowo, a zbójcy skorzystają z rozdrażnienia ludności, ażeby mordować Anglików. Gdy rozprężenie nastąpi, nie ucierpią na nim jedynie cudzoziemcy osiedleni w Chinach; nowo zbudowana kolej żelazna będzie mogła posłużyć do przewiezienia do Indji wzburzonych tłumów, i gra obróci się przeciwko Anglji. Lud cały ożywiony jednem uczuciem nie jest łatwy do zwalczenia. Jest to potok, który unosi wszystko ze sobą; ażeby mu się oprzeć, potrzeba coś innego niż machiny i broń palna. Anglicy nie powinni zapominać, że jeżeli wzniecą pożar, wiatr się może obrócić, a płomienia przeznaczone do pochłonięcia drugich, mogą ich samych spalić.

Gdy słońce dojdzie na niebie do najwyższego punktu, zniża się napowrót; gdy księżyc jest w pełni, zaczyna go ubywać.

Wielcy cesarze Chin nie ustępowali ludziom Zachodu, ani w zręczności, ani w rozumie: nie opierali się jednak o niebo, ani nie rozdzierali ziemi; nie pokładali swej ufności w sile brutalnej i mechanicznej; nie rozpoczynali walki z siłami natury, ażeby powiększyć swoją władzę i bogactwa. Bo rozum ich sięgał najgłówniejszych prawideł moralności i przewidywał naprzód niebezpieczeństwa przyszłe. Anglicy nie umieją; znają tylko drogę, która prowadzi do bogactwa i rzucają się na nią po szalonemu, nie oglądając się po za siebie.“

Widzimy, że Liu-Ta-Jen zarzuca naszej cywilizacji głównie kierunek wyłącznie materjalistyczny i podrzędne stanowisko człowieka w obec machin. Uczuwa jedynie pogardę dla naszych nauk, których zdaje się widzieć tylko stronę praktyczną i zastosowania przemysłowe. Przeciwstawia im z dumą cywilizację chińską, która ulega zbawiennemu wpływowi wysokiego stanu literatury i filozofji, i która jest w jego oczach, najwyższym wyrazem moralności. Ukazuje kontrast w wyrazach, którym nie brak natchnienia:

„Wszystkie stworzenia, które żyją na ziemi, mają oczy i uszy, zęby i szczęki; każde stara się dostarczyć sobie jedzenia i napoju i mieć go więcej niż inni. Człowiek tylko jest w stanie położyć granice swej chciwości. Jeżeli człowiek jest wyższym od innych zwierząt, to tylko dlatego, że ma pojęcie jasne o czasie i obowiązku, że ma wyobrażenie o cnocie i prawie, i rozumie, że siła materjalna i przymioty osobiste nie są wszystkiem.

Dzisiaj narody europejskie uznają, że jest chwalebnie pomagać biednym i wspierać nieszczęśliwych; i są litościwemi *z tego stanowiska*; przywiązują wielką wagę do uczciwości i prawdomówności; i są sprawiedliwymi *z tego stanowiska jedynie*. Gdyby Europejczycy rozumieli dobrze obowiązki, jakie wypływają z pięciu stosunków zasadniczych, widzielibyśmy skutki tego w ich życiu. Z miłości między księciem a jego ministrem, między ojcem a synem, między bratem starszym a młodszem rodzeństwem, między mężem a żoną, między przyjacielem a przyjacielem wynikałoby poszanowanie należne i ścisłe wypełnianie obowiązków odnośnych. Nienawistne współzawodnictwo i chciwość bez granic nie zakrwawiałyby ludzkości. Czy doszli do tego mieszkańcy Zachodu? Z pewnością nie. Cała ich czynność polega na fabrykowaniu rozmaitego rodzaju machin, okrętów parowych i lokomotyw, dla otrzymywania korzyści szybkich, armat i broni do zabijania bliźnich. Wsz ysc

współzawodniczą w chciwości, wynajdują zręczne sposoby dochodzenia do majątku; chwalą się że są bogaci i możni, i przynoszą tem zaszczyt ich mniemanej *prawdziwej wiedzy*.

Sprzeczności sądów ludzkich! Oskarżenia jakie Liu-Ta-Jen podnosi przeciwko Europie, są właśnie te same, jakie pan Renan ciska na Chiny: „Cywilizacja z wyciśniętem piętnem materjalizmu, instynkta religijne i poetyckie mało rozwinięte; słabe poczucie sztuki, lecz bardzo wyrafinowane poczucie elegancji; wielka zdolność do kunsztów wymagających zręczności ręcznej i zdolność zdobywania wiadomości zastosowawczych; literatura bez ideałów; umysł pozytywny, zwrócony do handlu, dobrobytu i przyjemności życia“... Kto ma za sobą słuszność, Liu-Ta-Jen czy p. Renan? Pierwszy źle widział Europę, drugi Chin wcale nie widział, co im nadaje wielką łatwość wydawania sądów kategorycznych i mylenia się ze spokojnem sumieniem. Jedna tylko rzecz jest pewną, że jeden z nich przynajmniej sprawdził raz jeszcze stare przysłowie o źdźble i belce.

TRZY POSĄGI

na obchód 32 rocznicy skonu

JULJUSZA SŁOWACKIEGO.

Trzy stoją posągi w górze
U wnijścia do sławy grodu;
Olbrzymy — kute w marmurze,
Wieczysta chluba narodu.

Jak bracia splетli swe dłonie
I straż trzymają nad nami,
A laury wieńczą im skronie
Nieuwiędłymi wieńcami.

Twarz u pierwszego pogodna,
Pierś mu miłością oddycha,
Choć nie raz za życia do dna
Wychylił gorycz z kielicha.

Ojczystą odziane mową
Niebianów dźwięki najczystsze,
Ukrywa wieszcze Twe słowo:
Wielki nasz mistrzu nad mistrze!

Drugi w pobożnéj pokorze
Pochyla czoło ku ziemi,
I głosi wyroki Boże
Jak synom Judy-Jeremi.

Cześć Tobie, coś Polski chwałę
W wierze rozjaśniał głębokiej,
I dla niéj życie dał całe...
Proroku nasz nad proroki!

Gorżko się z góry uśmiecha
I bladą twarz ma mąż trzeci...
Ten uśmiech — to bolów echa,
Za nim się smutku łza świeci...

Wszak znacie serce to dumne,
A wraz cierpiące tak szczerze!
O! cześć niech ulży Ci trumnę
Szermierzu nasz nad szermierze!

Próżno szukałeś spokoju...
Kogoż spokojem świat darzy?
Jak rycérz w otwartym boju
Broniłeś swojskich ołtarzy.

Juljuszu! dziś twe wspomnienie
Z aniołem smutku tu stawa.
O! cześć wam czcigodne cienie,
Cześć wam — i spokój — i sława!

* * *

Trzy stoją posągi w górze
U wnijścia do sławy grodu;
Olbrzymy — kute w marmurze,
Wieczysta chluba narodu.

Dziś pieśń ich niedokończona...
Po dniach, po latach posuchy,
Z nowego wytryśnie łona
Znękane ożywiać duchy.

I jak Proteusz przywdzieje
Na siebie odmienną postać,
By dawne cucić nadzieje,
Przy dawnych celach pozostać.

Aż kiedyś w dniu wybawienia
Ostatnie wyrzekłszy słowo,
Stanie się z pieśni cierpienia
Jasną swobody królową.

St. Rossowski.

KRONIKA TYGODNIOWA.

(B) Wiosna zrobiła nam gruby zawód. Pochowaliśmy futra, wielu oddało je na letnie przechowanie do różnych zakładów kredytowych i bezkredytowych, aż tu naraz śnieg, mróz, deszcz i inne dotkliwości wcale niewiosennej natury. Jakże tu się dziwić ludziom jeżeli często nie dotrzymują terminu naprzykład w wypłacie wekslu, jeżeli sama natura, jak wiadomo, wzór porządku i systematyczności, robi nam takie niespodzianki i dozwala żebyśmy zakładali protesta. Okoliczność ta przedstawiona w bardzo racjonalny sposób, sądzimy, zmiękczy cokolwiek serca naszych instytucji kredytowych, tudzież właścicieli domów pobierających komorne i uczyni ich więcej pobłażliwemi na ułomności ludzkie. Jeżeli natura, matka nasza, potrafi być nierzetelną — to jakże dziwić się jej dzieciom, istotom niedołężnym, naśladującym automatycznie wszystkie ruchy mamuni.

Tyle co do aury powietrznej. Za to aura polityczna w ubiegłym tygodniu przyniosła nam dwa listy z „Gołosu“. Jeden znanego kamerjunkra petersburgskiego dworu, administratora księstwa Łowickiego, byłego oficera kawalergardów, byłego prezydenta m. Warszawy, margrabiego Zygmunta Wielopolskiego, do p. Katkowa, Redaktora „Moskiewskich wiedomosti,“ drugi hr. A. Starzeńskiego, członka Izby Deputowanych w Wiedniu, do redaktora „Gołosu“. Pan margrabia Wielopolski, starający się o koncesję kolei żelaznej w Królestwie, zwanej Dąbrowską, odtrącając z oburzeniem zarzut Katkowa, jakoby w knowaniach nihilistycznych przeciw carowi Polacy brali przeważny udział, imieniem polskiego narodu oświadcza, że Polacy pragną *objedinenija* z Rosją. Dzienniki nasze wyraz ten przełożyły na *zlanie się*, a „Czas“ krakowski daje mu inne znaczenie, jednak *objedinienije* dosłownie znaczy *zjednoczenie*, które nie stoi bardzo daleko od *zlania się*. Otóż ta mowa, a raczej ta deklaracja pana margrabiego nie bardzo przypadła do smaku prasie warszawskiej, poznańskiej i naszej, a nawet „Dniewnik“ urzędowy warszawski ramionami wzrusza na tę pochopność pana margrabiego do zjednoczenia, a jeszcze bardziej na uzurpację mandatu narodu polskiego, którą sobie tak łatwo nieproszony i niepytany przywłaszczył. Lecz najciekawszem w tej sprawie jest postąpienie „Czasu“ krakowskiego, który zrazu nie mogąc pochwycić wiatru zkąd wieje, oscylował tu i tam, aż wreszcie przypomniawszy sobie historję cielęcia, które dwie krowy ssie, uderzył na biedną prasę warszawską, i zdecydował się stanąć za margrabią. Co do nas, którzy dzięki Bogu nie jesteśmy jeszcze ostemplowani żadną cechą koterji, musimy stanąć po przeciwnej stronie, tem bardziej, że sami Rosjanie wciąż mówią tylko o *primirenii* z Polakami (to jest o zgodzie), a nie zjednoczeniu. Gdyby p. margrabia Wielopolski nie był synem i jak się pokazuje spadkobiercą Aleksandra Wielopolskiego i to bez dobrodziejstwa inwentarza, gdyby nie pobierał wysokiej pensji od rządu, gdyby nie prosił i nie przyjmował znacznych dóbr ziemskich jako wynagrodzenie za straty poniesione przy uwłaszczeniu (czego nikomu więcej nie dano), żeby nie starał się o koncesję na kolej — ha, wtedy moglibyśmy uwierzyć jego przekonaniom, żałować go i mimo to nie pójść za nim. Lecz jeżeli jest przeciwnie, to życząc jemu i stronnikom jak najlepszego powodzenia w zjednoczeniu, musimy stanowczo zaprotestować przeciw wszelkiej solidarności. Arystokracja nasza, którą warszawska prasa nazywa *nieobecnemi*, oddawna jednoczyła się i jednoczy ze wszystkiemi narodowościami w Europie, a najwięcej podobno z rosyjską; niech więc jednoczy się dalej, ale niech nam pozwoli dysponować samemi sobą i gwałtem nie narzuca się na przywódców. I my rozumiemy swoją godność narodową, i my dążymy do zgody, ale do zgody jak równy z równym, na zasadach odrębności, do której tak pod względem historycznym jako i społecznym mamy niezaprzeczone prawo. My wcale nie obawiamy się kwestji socjalistycznej, ani ręki do spisków nihilistycznych nie przyłożymy, jednak potrafimy się targować bez zdania na łaskę i niełaskę. Dzięki Bogu, nie przyuczyliśmy się chodzić w liberji, a taką pokładamy wiarę we własne siły, że prędzej czy później sprawiedliwość musi nam być wymierzona z pełną godnością i uszanowaniem praw naszych. Nie rozumiemy zatem tego pospiechu i trwogi przed nihilizmem, w którą od stóp do głów ubrane jest stronnictwo „Czasu“, i z powodu którego zawiązało się tutaj we Lwowie stowarzyszenie dla wydawnictw ludowych. Zdaje się, że parę miesięcy temu, rozwiązało się Towarzystwo oświaty ludowej, zostające pod przewodnictwem p. Alfreda Młockiego, że ksiądz Stojałowski organizuje nowe, aż tu przybywa trzecie, już ze stale określonym programem oddziaływania przeciw temu, czego nie ma. Wszak istnieją z bardzo uczciwą tendencją redagowane pisemka ludowe „Wieniec i Pszczółka“, wszak mamy „Gazetę Wiejską“ i „Przyjaciela Domowego“, które już wyrobiły sobie bardzo obszerne koło czytelników. Czyż nie lepiej wesprzeć i zorganizować te co są, niż tworzyć

nowe i rozdrabniać siły pracujące z pożytkiem na tem polu, a których jak się pokazało jest nie wiele. Chyba że tendencja dotychczasowych wydawnictw wydaje się promotorom nowego Stowarzyszenia jeszcze zanadto niebezpieczną. W takim razie żałować tylko wypadnie ich usiłowań; — postęp, jaki wytworzyły czas i okoliczności, za pomocą drukowanej bibuły cofnąć się nie da, lecz wręcz przeciwne wywoła skutki. Proszę przyjrzeć się stosunkom w Księstwie poznańskiem. Tam włościanin jest wykształcony, i to nie tendencyjnie, a mimo to w każdej potrzebie idzie razem ze szlachtą, która się wcale socjalistycznych objawów między nim nie obawia. U nas przeciwnie, czembardziej zechcemy obcinać skalę jego wykształcenia i przykrawywać do swoich widoków, tem więcej oddalać będziemy chwilę, w której stać się może dodatnim czynnikiem w sprawie narodowej, i tem dłużej pozostawimy go w rękach interesowanych, jako materjał do wszelkiego rodzaju eksperymentów.

Wspomnieliśmy na początku jeszcze o drugim otwartym liście A. hr. Starzeńskiego do Redaktora petersburgskiego „Gołosu", w którym szanowny hrabia objaśnia i prostuje mylne pogłoski o przyczynach niedoszłej kondolencji w Izbie deputowanych, po zamachu na życie cara. List ten, przyznajemy, cokolwiek nas zdziwił. Czy to hr. Starzeński wystąpił z usprawiedliwieniem, czy z przeproszeniem, czy od siebie, czy od Koła polskiego, czy od pewnej partji — doprawdy nie pojmujemy. Jeżeli to ma być usprawiedliwienie Polaków — to przyznajemy, wobec spóźnionego nieco aktu kondolencji ze strony wiedeńskiej Izby Panów, list ten jest trochę niewłaściwy; jeżeli zaś miał na celu uglaskanie opinji w Rosji — to trochę spóźniony i ostatecznie nie na swojem miejscu. Dziennikarstwo rosyjskie wie dobrze co o nas ma myśleć, czego dowodem są liczne artykuły biorące nas przeciw pruskim insynuacjom w obronę; krok więc taki deputowanego polskiego, musimy przyjąć za coś w rodzaju osobistej manifestacji przeciw wszelkim możebnym podejrzeniom, na której widocznie hr. Starzeńskiemu wiele zależy.

* * *

W jednym z najbliższych numerów Tygodnia, podamy urywek z nadzwyczaj cennych i zajmujących wspomnień Michała Modzelewskiego, które wejdą w skład III zeszytu zbioru pamiętników z lat 1830—31. Autor ich, brał tak czynny udział we wszystkich naszych narodowych ruchach, pracując jednocześnie na ojczystej literackiej niwie, że nie od rzeczy będzie powiedzieć o nim słów kilka, tem bardziej, że p. Kunaszowski w „Życiorysach" swoich, nie wspomniał nawet o tym zasłużonym patrjocie.

Michał Modzelewski, syn Wincentego, starosty Kąkolownickiego i Salomei z Dembińskich, urodził się 28 września 1804 r. Nauki pobierał w konwikcie pijarskim na Żoliburzu, w r. 1822 zapisał się na wydział Prawa i Administracji Uniwersytetu warszawskiego, poczem rozpoczął praktykę administracyjną w biurze Rady Stanu Królestwa. Z wybuchem listopadowego powstania wstąpił w szeregi walczących i 11. grudnia 1830 r. mianowany został podporucznikiem w sztabie Regimentarza po lewym brzegu Wisły. Następnie jako adjutant Dowódzcy 1 pułku jazdy sandomierskiej, adjutant polowy przy Generale dowódzcy V dywizji piechoty, Henryku Kamińskim i jako adjutant przy Dowódzcy dywizji jazdy, brał udział w niezliczonej ilości bitew i utarczek aż do samego końca wojny, poczem, przy wymarszu armji polskiej z Modlina podał się do dymisji i osiadłszy w własnym majątku, na wsi, oddał się tam rolnictwu i pracom literackim, spisując wspomnienia ubiegłych wypadków. Przetłomaczył także z niemieckiego 10-cio tomową „Historję Prus Polskich", Lengnicha, dzieło pierwszorzędnej wartości.

Po kilkunastu latach tej spokojnej i użytecznej pracy, za udział w działaniach 1846—1849 r. pociągnięty do odpowiedzialności, więziony lat kilka w cytadeli, zesłany został w r. 1854 na lat 4 do Sybirskiej katorgi, do gub. Tobolskiej, gdzie pozostawał aż do r. 1858, w którym, za staraniem Napoleona III z innymi współrodakami powrócił na łono rodziny, znowu w roli i piórze znajdując pociechę. W tym czasie napisał 5 tomów p. t. „Spis sejmów w Rzeczypospolitej Polskiej od początku do r. 1660", dalej, „Historją armji polskiej za księztwa Warszawskiego" w 2 tomach, „Bibljografję Filozofji w Polsce" i „Pobyt w Sybirze" 3 tomy, co wszystko jednak dotąd pozostaje w rękopismach.

Nastąpiły wypadki 1862 i 1863 r. Kto raz za młodu poczuwał się do obowiązków względem kraju, ten i na starość od nich się nie wyłamie. Rząd Narodowy mianował Modzelewskiego komisarzem, a następnie Naczelnikiem cywilnym Województwa Sandomierskiego. Że Modzelewski był już dawniej w Sybirze, więc go aresztowano, skazano znów na zesłanie i tylko obłożnej chorobie winien, że go z odchodzącą partją nie wyprawiono. Podczas choroby, za staraniem żony i pewnego pułkownika Polaka, zostającego w służbie moskiewskiej, uwolniony w roku 1864, powrócił na wieś, gdzie wkrótce, wstrząśnienia ekonomiczne, jakie nastąpiły w kraju i klęski elementarne, przyprowadziły Modzelewskiego do zupełnej majątkowej ruiny. Stracił ukochaną żonę, Euzebję z hr. Zborowskich, pracował ciężko na kawałek chleba, aż śledzony i prześladowany przez Rząd moskiewski, musiał uchodzić z królestwa do Galicji.

Tu, w Gorlicach, ten zasłużony 76 letni starzec dokonywa żywota w ciężkim niedostatku.

Czyby który z naszych szlachetnych panów, zapisujących miljony na cele publiczne, nie mógł nabyć owych prac Modzelewskiego i tym sposobem zabezpieczyć ostatnie chwile nieszczęśliwego starca?

KOMEDJA W PALAIS-ROYAL.

I.

Było to na początku jesieni 1770 r. Tłumy spacerujących pieszo, w lektykach, powozach przepełniały Paryż. Ludno też było i na ulicy Platriere, na której przed wysokim, ponurym domem zatrzymała się lektyka, na rozkaz siedzącego w niej kawalera dworu. Wysiadłszy wszedł do domu i dążył po krętych schodach na czwarte piętro.

Kawaler był jeszcze młodym i przystojnym mężczyzną. W jego spojrzeniu i ruchach przebijała się niewymuszona pewność, zdradzająca obcowanie w wyższej, eleganckiej sferze.

Na korytarzu czwartego piętra zatrzymał się przed drzwiami na wpół otwartemi, z których dolatywał lekki swąd. Była to kuchnia, gdzie zajęta robotą kobieta wydawała się raczej kucharką niż panią. Nie była ona ładną i możemy ją wręcz nazwać brzydką, a nawet sądząc z fizjognomji o inteligencji — ograniczoną, głupią.

Była to Teresa Larasseur, niegdyś szynkareczka z Orleanu, a teraz żona filozofa genewskiego.

— Czy pan Rousseau w domu? — zapytał kawaler, który zatrzymał się na kurytarzu i głowę do kuchni przez drzwi otwarte wsunął.

Teresa otarła ręce o fartuch, opuściła miejsce przy kominie i stanęła we drzwiach.

— Jest — powiedziała, wskazując drzwi sąsiednie. — Kawaler nie zaszczycił tej słynnej damy ani spojrzeniem, ani jednem słowem więcej, i udał się do wskazanych mu drzwi, w które lekko zasztukał. Nie usłyszawszy pozwolenia, wszedł, nie oczekując na wezwanie, jak człowiek nielubiący się krępować.

Była to nadzwyczaj skromnie umeblowana facjatka. Na stoliku, między stu arkuszami bibuły, leżał zielnik. Zdradzała go rozchodząca się po pokoju woń siana. Obok na ścianie wisiała puszka do zbierania roślin, jaką wtedy posiadał każdy uczeń i wielbiciel wielkiego Lineusza.

Pod jednem z dwóch małych okienek stał stół, przy którym siedział człowiek, zajęty gorliwie przepisywaniem nut. Był to Jan Jakób Rousseau, najwięcej podziwiany i najwięcej prześladowany człowiek swego stulecia.

Liczył on wtedy 59 lat wieku i mimo wszelkich zmartwień i walk, zachował jeszcze postawę młodzieńczą. Ta pełna, o regularnych rysach twarz, ozdobiona ciemnemi oczyma, rzucała iskry, gdy w nich błyszczał ogień oburzenia, jakie w sercu filozofa wzbudzało zepsucie owego wieku. Od niejakiego czasu zaczął on ubierać się po amerykańsku. Okryty długą, ciemno bronzową sutanną, zdawał się urągać mundurom, które się wtedy rozpowszechniły nietylko przy dworze, ale zaczęły się wciskać do akademji i innych przybytków nauki.

Nie odwrócił głowy, ani się zatrzymał w robocie, gdy się drzwi otworzyły. Odwiedziny nie były dla niego nowością, a rzadko kiedy sprawiały mu przyjemność. Żaden znakomity podróżny, żaden uczony, szukający dla swego dziennika zajmującego faktu, będąc w Paryżu, nie omieszkał odwiedzić Jana Jakóba Rousseau na jego poddaszu. — Ale, gdyby nawet wszystkie wielkości Europy z papieżem na czele, raczyły go zaszczycić, ten sławny zrzęda nie wstałby dla nich ze swego połamanego krzesła, i nie powitałby ich wielmożności z uśmiechniętą twarzą — owszem, przyjąłby ich z jak najkwaśniejszą miną.

Kawaler dał znać o swej bytności chrząknięciem, na które filozof niechętnem mruczeniem odpowiedział.

— Panie Rousseau — pytał przybyły, po wspomnianym wstępie do rozmowy — nie masz pan dla mnie wolnej chwili?

— Usiądź pan — zamruczał autor „Umowy społecznej". Narysował jeszcze kilka nut, odrzucił pióro i obróciwszy krzesło, pierwszy raz spojrzał w twarz swego gościa.

— Nie znasz mnie pan? — pytał tenże, siadając ostrożnie na nadłamanem krześle.

— Nie.

— Jestem kawaler de Liriac.

— Tak?

— Koniuszy hrabiego d'Artois.

— Hm!

— Który pana podziwia, panie Rousseau!

— Hm, hm!

— Spodziewam się, że to panu nie jest nieprzyjemnem? — Kawaler pytał z niejakim niepokojem, widząc, że Rousseau brwi marszczy i zaciśniętą pięścią w stół uderzać zaczyna.

— Czy to jest zleceniem pańskiem? — pytał wrażliwy filozof niechętnie. — Czy zwierzchnik twój, panie kawalerze, po to cię tu przysłał, byś mi prawił rzeczy dla mnie zupełnie obojętne?

— Nie, przychodzę z własnej woli.

— Może pan mnie także podziwiasz?

— Z wszelką pewnością! Podziwiam Pana, zwłaszcza w tej chwili.

— Jestem panu wielce zobowiązany. Czy życzysz pan sobie jeszcze czego?

— Mam prośbę do pana, panie Rousseau. W salonie hrabiny de Genlis, która jest ochmistrzynią dzieci księcia Orleańskiego, jak panu może wiadomo, wszczął się spór między tą dowcipną damą, a moim zwierzchnikiem, hrabią d'Artois, z powodu kilku zdań pańskich, przytoczonych w „Emilu".

— Cóż mnie to obchodzi?

— Pani de Genlis, która jako wychowująca dzieci księcia, bardzo wiele książką pańską się zajmowała, jest jej stanowczą przeciwniczką. Hrabia d'Artois ma przeciwne zdanie i gorąco twierdzeń pańskich broni.

— Mógłby coś lepszego robić. Hr. d'Artois jest młodym człowiekiem, który się jeszcze uczyć powinien i jak sądzę, nie może on wyrokować o wartości mojej książki.

— Mnie się zdaje, że uwielbienie jego powinno panu pochlebiać.

— Ani trochę! Nie troszczę się o zdanie głów koronowanych, książąt i księżniczek, szlachetnych dam i hrabiowskich guwernantek. — Wszyscy oni gromadzą się około groźnego despoty, który kazał książkę moją, po ukazaniu się jej, rękami kata spalić, a mnie zmusił do ucieczki z Francji.

— Wszak to już bardzo dawno temu, panie Rousseau.

— Tylko kilka lat, panie kawalerze. Odtąd nic się nie zmieniło, ani w moich pojęciach, ani w biegu czasu. Spalili moją książkę i byliby ją chętnie do szczętu zniszczyli, ale tego dokazać nie mogli — i nawet po niejakim czasie poznali, że wypowiedziane w niej myśli są nieśmiertelne — i że prawdy nieśmiertelnej zabić nie można.

— Tembardziej powinno panu zależeć na wprowadzeniu nowych pańskich poglądów do wychowania książąt, a ja panu właśnie sposobność nastręczam.

— Ja jej nie chcę.

— Pragnę doprowadzić do skutku rozmowę o „Emilu" między panem a panią de Genlis. Hrabina sama pała ciekawością osobistego poznania twórcy tego sławnego dzieła i w jej to imieniu przynoszę panu zaproszenie.

— Ona mnie już kilkakrotnie zapraszała, a ja zawsze odmawiałem.

— Dla tego też ja przychodzę do pana. Powszechnie utrzymywano, że pan odmówisz wszelkiemu zaproszeniu, przyjąłem więc na siebie sprowadzenie pana do Palais-Royal, gdzie monseigneur książę Orleański rezyduje, a pani de Genlis mieszka.

— Nie chcę.

— Przyzwoleniem swojem wyświadczyłbyś mi pan wielką przysługę, panie Rousseau.

— Nie mam bynajmniej powodu wyświadczania panu przysług, panie kawalerze.

— Usilnie pana o to proszę.

— Sto koni i tysiąc koniuszych tam mnie nie zawiozą.

— Będzie więc pańską winą, jeśli zakład przegram.

— Pan się więc założyłeś, że mnie sprowadzisz do Palais-Royal?

— Tak. Sto luidorów stanowi stawkę, panie Rousseau.

— Przegrałeś zakład, panie kawalerze.

— Czy to ostatnie słowo pańskie?

— Ostatnie.

— Bywaj mi pan zdrów, panie filozofie! — powiedział szlachcic powstając. Wiele mi o uporze pańskim opowiadano, ale widzę, że w niczem nie przesadzono. Wprawdzie przegram swój zakład, *ale żartu tego nie stracę*, ręczę panu za to! Adieu..."

Wyszedł.

— Co myślał ten śmieszny głupiec, mówiąc o żarcie? — mruczał twórca „Emila," biorąc na powrót pióro do ręki i rozkładając świeży arkusz papieru do pisania nut. — Hm! Hm! niech sobie pójdzie do tego wysokiego zgromadzenia i niech im opowie, co słyszał.

— Zaledwie jeden wiersz nut napisał, gdy drzwi się otworzyły i weszła jego żona, by się dowiedzieć, co to za jeden był ten wielki pan, który właśnie z takim gniewem wyszedł.

— To był kawaler dworu — tłómaczył Rousseau — śmieszny głupiec, świecącemi haftami obwieszony osieł, błazen jakich wielu. Był to kawaler de Liriac, Teresso, koniuszy hrabiego d' Artois, największy bałwan, jaki kiedykolwiek chwalił moje pedagogiczne idee. Co najwyżej, zna się on na tresowaniu koni, jest to jedyne, co na jego korzyść powiedzieć można!...

(Dokończenie nastąpi.)

TEATR.

Stoimy w przededniu nowej ery, bo oto z końcem bieżącego tygodnia ustępuje z lwowskiego teatru dotychczasowy od lat ośmiu jego kierownik i składa Dyrekcję w ręce szczęśliwszego współkonkurenta, pana Adama Miłaszewskiego.

Korzystamy zatem z tej chwili, ażeby niejako zamknąć rachunki za czas ubiegły, ażeby krótkiem a bezstronnem rozpatrzeniem czynności ustępującej Dyrekcji, oddać co komu słusznie należy. Najzawziętszy nawet przeciwnik pana Dobrzańskiego nie może zaprzeczyć, że, pominąwszy pewne braki i usterki, wynikające przeważnie z dość obojętnego zachowania się publiczności wobec teatru — ośmioletni okres z czasu jego kierownictwa, a zwłaszcza pierwsze lata tego okresu, należy zaliczyć do najświetniejszych w dziejach rozwoju lwowskiej sceny. Jedną z największych zasług ustępującej Dyrekcji było niezawodnie złożenie doborowego personalu, zwłaszcza w zakresie komedyj salonowych, w których bezprzecznie znakomite osiągano rezultaty. Nie da się wprawdzie to samo powiedzieć o wykonywaniu poważnych dramatów z powodu stałego braku w naszym personalu pierwszej bohaterki dramatycznej, trudno jednakże o to winić Dyrekcję, skoro ostatniemi laty, prócz Modrzejewskiej, na żadnej scenie polskiej nie spotykamy artystki tej miary, aby mogła zadowolnić wybredne pod tym względem dziś wymagania.

Co do repertoaru, śmiało twierdzić możemy, że rzadko kiedy bywał on tak obfity i tak urozmaicony jak za dotychczasowej Dyrekcji; nie wiele przesadzimy twierdząc, że prawie żaden tydzień nie upłynął, w którymby nie przedstawiono nowej sztuki, czy to głośnych utworów pisarzy zagranicznych, czy to sztuk i próbek oryginalnych. Najlepszym dowodem owej zapobiegliwości Dyrekcji w rzeczonym kierunku jest to, że nawet w ostatnich dniach expirującego przywileju, wobec czego każde zaniedbanie musiałoby się wydawać naturalnem a nawet poniekąd usprawiedliwionem, Dyrekcja wystawiła jeszcze głośną sztukę Sardou *Rozwiedźmy się*, dając ją z pierwszej ręki, bo równocześnie ze stołeczną sceną wiedeńską.

Jeżeli zaś lekka komedja lub płaska farsa przeważała na naszej scenie, było to naturalnym wynikiem tak składu personalu, jakoteż niechęci do dramatów i tragedji, objawiającej się aż nadto wyraźnie u naszej Publiczności — na dowód wystarczy przypomnieć, że np. na *drugiem* przedstawieniu Szekspirowskiego *Koriolana* sala była prawie pusta, na drugiem zaś przedstawieniu głupiej farsy, *Gapie w miłości* brakło biletów! Podobnych przykładów moglibyśmy przytoczyć bez liku, poprzestajemy jednakże tylko na tych, które najświeżej jeszcze tkwią w pamięci każdego. Wobec takiego *signum temporis*, wobec wysokich gaż artystów, nikt podobno nie będzie żądał od Dyrekcji, aby samochcąc narażała się na nieuchronne straty. Raczej uderzmy się w piersi i powiedzmy: taki mieliśmy teatr, na jakiśmy zasługiwali!

Dalszą zasługą ustępującej Dyrekcji jest stworzenie doskonałej operetki, a zwłaszcza wyszukanie i wykształcenie tak solistów, jakoteż chórów. Rozglądnąwszy się w dzisiejszym składzie operetki, dojrzymy, że z dawniejszego autoramentu zużytkował p. Dobrzański — nie mówiąc o śpiewakach *minimorum gentium* — jedynie pana Koncewicza, pozyskanie zaś wszystkich innych sił jest wyłącznem dziełem i zasługą dotychczasowego Dyrektora. Również i opera w nędznych warunkach, w jakich w naszem mieście żyć musi, zasługiwała bardzo często na uznanie.

Co się tyczy wystawy i garderoby, a zwłaszcza w operach i operetkach, doprowadziła je dotychczasowa Dyrekcja bez wątpienia do nigdy niebywałej dotąd świetności.

Na nie mniejsze uznanie zasługuje wprowadzenie przedstawień popołudniowych (których zbawienną myśl niestety w ostatnich latach najzupełniej wypaczono), tudzież wprowadzenie w życie konkursu dramatycznego im. Fredry.

Wobec tylu zasług, były jednakże i niedostatki. Najdotkliwiej dawał się czuć brak sprężystej reżyserji i stałego tygodniowego repertoaru. Zapowiadanie i odwoływanie tego samego dnia sztuk do grania przeznaczonych, stawało się już ostatnimi czasy chlebem powszednim; na scenie także nie widzieliśmy jednolitego kierownictwa, ani jednolitego częstokroć pojmowania. Bywały wypadki, że artysta grający drugorzędną rolę, nie zadał sobie pracy przeczytania *całej* sztuki, zadowalniając się lichem wymemorowaniem *swej* tylko roli, a zresztą spuszczając się na suflera i intuicję, która dzięki Bogu, jeżeli przyszła! Rozprzężenie za kulisami transpirowało dość często aż przed kortynę, jednem słowem, w dość wesołej a nie dość sfornej rzeczypospolitej artystycznej nie widzieliśmy tej karności, bez której żadne towarzystwo na świecie, chociażby tylko dla zabawy, a nie dopiero dla wspólnej a trudnej

pracy zgromadzone, istnieć nie może. Mimo licznych experymentów nie mieliśmy od początku do końca reżysera, któryby wykształceniem, taktem, swoją przeszłością artystyczną i wiekiem był w stanie całemu gronu zaimponować, stanąć zaporą tak powszechnym w świecie teatralnym intrygom, utrzymać wszystkich w karbach i na wysokości poziomu artysty, tak na scenie jakoteż po za sceną!

Niezbyt wiele także zrobiła Dyrekcja około adaptacji sali teatralnej i ubikacyj przylegających; zimno, przeciągi, brak garderoby, brak jakiegokolwiek dzisiejszej cywilizacji odpowiadającego *foyer* nigdy zdaje się Dyrekcji na sercu bardzo nie leżały.

Oto nasze *habet* i *debet*. Z tego bilansu wyciągnie każdy bezstronny to przekonanie, że mimo drobnych niedostatków, pan Dobrzański niepospolite położył około teatru naszego zasługi, że w dziejach tegoż teatru wcale poczesną zajmie kartę, że mu się wreszcie za tyle lat ciężkiej i sumiennej pracy należy nasza wdzięczność i uznanie, którego pewnie nie omieszka wyrazić publiczność ustępującemu dyrektorowi na ostatniem, pożegnalnem przedstawieniu.

Nie przypuszczamy, ażeby z powodu słów powyższych posądzano nas o niechęć dla nowej dyrekcji i najusilniej się przeciwko temu zastrzegamy. Hołdując naszemu bezstronnemu stanowisku oddaliśmy, co komu należy, a to stonowisko i w przyszłości zachować pragniemy. Instytucja narodowa takiej wagi jak teatr, znajdzie w naszem piśmie zawsze jak najgorętsze poparcie, bez względu na osobistości jakie stoją na jej czele, byle odpowiadała swemu wysokiemu zadaniu. Przyszłość to pokaże.

Na razie pozwalamy sobie tylko dołączyć jeszcze skromną notatkę *in usum* nowej Dyrekcji. A mianowicie, czyby nie była skłonna:

1) Traktować z Radą administracyjną przy pomocy Wydziału krajowego i Rady miejskiej o odpowiedniejszą dzisiejszym wymogom adaptacją sali teatralnej zwłaszcza:

a) co do usunięcia pająka, (o którego trwałem zawieszeniu niektórzy powątpiewają), a zaprowadzenia podobnego systemu oświetlenia jak w auli politechniki lwowskiej; wzgląd na oczy, zwłaszcza publiczności górnych piętr, stanowczo domaga się tu rychłych środków zaradczych;

b) co do ogrzewania sali w porze zimowej i usunięcia zabójczych przeciągów;

c) co do utworzenia garderoby z obowiązku, i zabronienia wstępu na salę w mokrych futrach, paltach, z parasolami i laskami;

d) co do przywrócenia dwóch wchodów bocznych do krzeseł parterowych z pozostawieniem jednak wchodu środkowego;

e) co do utworzenia przyzwoitego bufetu i foyer, chociażby w porozumieniu z przylegającą kawiarnią teatralną, do której jednakże należałoby otworzyć bezpośredni przystęp.

2) Przywrócić przedstawienia popołudniowe do ich pierwotnego znaczenia, tj. aby dawały sposobność kształcenia młodszych sił personalu teatralnego w obranym zawodzie, a zarazem budziły chęć w uboższej publiczności bywania i korzystania z teatru.

3) Ogłaszać i dotrzymywać tygodniowe repertoary.

4) Postarać się o jakie takie umundurowanie służby teatralnej, mającej styczność z publicznością.

5) Zaprowadzić podręczne afisze małego formatu i sprzedawać takowe po cenie reprodukcji a z usunięciem dotychczasowej frymarki, praktykowanej przy kasie, bo wątpimy czy dyrekcja szuka zysku na tem, co służy do wygody Publiczności.

Oto wiązanka pobożnych życzeń, które, gdyby się choć w części ziściły, zwłaszcza w części dotyczącej adaptacji lokalu teatralnego, niezawodnie wpłynęłyby bardzo korzystnie na zwiększenie frekwencji w teatrze. Nasz gmach teatralny, jeden z największych w Austrji, ma prawo domagać się bardziej europejskiego urządzenia; sądzimy przeto, że jestto obowiązkiem zarówno kraju, fundacji i Rady miasta Lwowa pomyśleć o jego częściowem przeistoczeniu.

R. St.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literackie, artystyczne i naukowe.

*** P. Wincenty Krówczyński, przetłómaczył i wydał we Lwowie ośm utworów lirycznych Schillera. O przekładach tych w ogóle nie można wypowiedzieć pochlebnego zdania — są one próbą początkującego poety; — próba ta jednak upoważnia do nadziei, że autor, przy dalszej pracy, potrafi zająć w literaturze poważne stanowisko.

*** Z końcem lutego zaprzestano dalszego poszukiwania w Olympji ze strony Niemiec. Od roku 1875 do 1881 odgrzebano z większych rzeźb, grup, posągów i t. d. 180 więcej lub mniej uszkodzonych przedmiotów, 1500 odłamków, 1000 napisów, 14,000 przedmiotów sztuki z miedzi, 4000 z gliny, 6000 monet i t. p. Dalsze prace około poszukiwania przeprowadzić ma rząd grecki.

*** Znakomity nasz sztycharz Henryk Redlich, osiadły obecnie w Paryżu, ma pod rylcem jedną z najpiękniejszych kompozycji Brandta „Hejże na Soplicę“ i portret Turgeniewa.

Ukończył też właśnie Redlich miedzioryt z słynnego obrazu Munkacsy'ego. „Ostatni dzień węgierskiego skazańca.“

*** Obraz Lipińskiego, przedstawiający jeden z najpiękniejszych epizodów podróży cesarza Franciszka Józefa po Galicji, a mianowicie wesele krakowskie, znajduje się już w Wiedniu i za zezwoleniem cesarza, który raczył przyjąć upominek, wystawiony bydzie na widok publiczny w salach austrjackiego *Kunstvereinu*.

*** W salonie paryskim zwraca na siebie uwagę portret hr. Potockiej pęzla Bonnata.

Pochwały dla tego płótna przeszły z gazet francuskich i do prasy angielskiej.

*** Kolonja artystów naszych w Rzymie powiększa się z dniem każdym.

W tych dniach przybył do jej grona p. Jan Owidzki, młody malarz z Warszawy.

Krudowski maluje gorliwie w pałacu ambasady austrjackiej, Siemiradzki kończy wielkie płótno „Orgia na Kaprei“, błyszczące dramatycznością i kolorytem.

*** W Mnichowie zapowiadają nową serję szekspirowskich widowisk.

Pierwszy raz na ziemi niemieckiej grać będą „Peryklesa.“

Natłok widzów będzie zapewne wielki, bo już miłośnicy sztuki robią zamówienia na bilety.

*** Kamil Saint-Saens pisze operę pod tytułem: „Phoebe“, która ma być wystawioną w wielkiej operze. Tekstu dostarczą Meilhac i Filip Gilles. Ostatni objął miejsce Halevyego, który wystąpił ze spółki pisarskiej: „Meilhac i Halevy“.

Społeczne i ekonomiczne.

Publiczne podziękowanie.

*** Reduta na rzecz Towarzystwa Naukowej Pomocy dla księstwa Cieszyńskiego urządzona we Lwowie, przyniosła czystego zysku 225 złr., które za łaskawem pośrednictwem p. Hilarego Jaworowskiego przesłane zostały na ręce dyrekcji tegoż Towarzystwa. Dyrekcja, tym pomyślnym rezultatem, przewyższającym najśmielsze nadzieje, do głębi wzruszona, spełnia tylko miły obowiązek, wynurzając na tem publicznem miejscu za tak znakomite wsparcie najserdeczniejsze podziękowanie, najpierw komitetowi urzdzającemu, mianowicie zaś p. t. Panom: Dr. J. Czajkowskiemu, przewodniczącemu i Hil. Jaworowskiemu, delegatowi Tow. Nauk. Pom., następnie całej Szanownej Publiczności lwowskiej, która swym udziałem przyczyniła się do osiągnięcia tak świetnego rezultatu. Dyrekcja nie umiała lepiej wyrazić swej gorącej wdzięczności dla braci Lwowian, jak tem jednomyślnem postanowieniem, aby kwota, o ile zwykłe składki członków wystarczą na pokrycie bieżących potrzeb, wcieloną została do fundacji im. J. J. Kraszewskiego, przeznaczonej na stypendjum dla ucznia Szlązaka, odbywającego swe nauki na uniwersytecie krakowskim lub lwowskim.

Składając niniejsze podziękowanie publiczne, polecamy Towarzystwo nasze dalszej łaskawej pamięci i względom Szanownej Publiczności lwowskiej.

W Cieszynie dnia 27. marca 1881.

Dyrekcja Towarzystwa Naukowej Pomocy dla księstwa Cieszyńskiego.

*** W Kantonie St. Gallen, w Szwajcarji, ponowne zaprowadzenie kary śmierci odrzucone zostało przez wielką radę 73 głosami przeciw 66.

*** Śluby cywilne w Hiszpanji, uchwalone przez Kortezów w 1870 roku, a zniesione przez Canovasa del Castillo w 1875, mają być znowu wprowadzone. Dekret Canovasa pozostawił śluby cywilne tylko dla niekatolików, a więc dla szczupłej mniejszości. Również zaczęły obiegać pogłoski o przywróceniu sądów przysięgłych i jawności postępowania sądowego.

*** Ministerjum państwa Niebieskiego otworzyło w Paryżu wystawę instrumentów muzycznych, używanych w Chinach.

Najciekawszą z nich jest lira o czterech strunach, zwana »*biva*«, na ktorej grać wolno tylko mandarynom.

Cesarz chiński jest wybornym artystą na tym instrumencie.

*** Wiedeń obchodzić będzie tego lata stuletni jubileusz urządzenia publicznych kąpieli w zimnej wodzie.

Z okoliczności tej, w tamecznej wojskowej pływalni odbędzie się festyn pływacki, w którym i damy wezmą czynny udział w produkcjach.

Z bogatego programu ułożonego przez specjalny komitet zasługuje na uwagę punkt drugi: wyścigi pływackie dam (trzy nagrody), oraz punkt szósty: kadryle wykonane na wodzie przez dwanaście dam i tyluż panów w kostjumach.

Punkt jedenasty obiecuje »*Jeu de la rose*«, wykonany przez jedną damę i dwóch panów albo naodwrót.

Z Drukarni „Gazety Narodowej“

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.